

CHARAKTERYSTYKA PRACY

Anna Jewgienjewna Zaborska, Aleksandr Jurjewicz Szeszukow
Polskij sled w pamiaty Makarichi (Polski ślad w pamięci Makarichy)

Anna i Aleksander – uczniowie 9 klasy z Kotłasu w obwodzie archangielskim – piszą o deportacjach lat 30. i 40.

Makaricha to cmentarz w północnej części Kotłasu. Wiedzą o nim nie tylko miejscowi. Przyjeżdżają tu ludzie z różnych miast, cudzoziemcy, przyjeżdżają też Polacy. Inicjatorem budowy pierwszego pomnika ofiar totalitaryzmu w Kotłasiu był konsul generalny Polski w Petersburgu Zdzisław Nowicki. Zapropował, aby postawić krzyże na miejscach pochówku Polaków, Rosjan i przedstawicieli innych narodowości straconych i zamęczonych w łagrach (...). Zdzisław Nowicki sam przygotował w dwóch językach napis na płycie pamiątkowej. (...) W 1995 roku krzyż stanął na (...) Makarisze. To był pierwszy w Kotłasiu pomnik ofiar represji politycznych.

Polacy co rok przyjeżdżają na cmentarz. Chcieliśmy – piszą Anna i Aleksander o motywach swojej pracy – dowiedzieć się dlaczego Polacy interesują się Makarichą.

Autorzy postawili przed sobą cztery zadania: ustalić kto był więziony na Makarisze, zgromadzić i poznać wspomnienia tych osób, dowiedzieć się jak trafili na Makarichę, zebrać relacje miejscowej ludności o polskich przesiedleńcach specjalnych.

W archiwach kotłaskiego stowarzyszenia Sowiest' [Sumienie], muzeum krajoznawczego i muzeum szkolnego „Makaricha” przechowywane są wspomnienia tych, którzy przeszli przez Makarichę jako przesiedleńcy specjaliści na początku lat 30. XX wieku. Archangielski historyk Rudolf Afanasjewicz Chantalina znalazł fotografie Makarichy wykonane (...) w 1930 roku. (...) Załedwie 14 zdjęć. Ich kopie są w archiwum muzeum „Makaricha”. Uczniowie szkoły nr 17 dla swojego muzeum zbrali wspomnienia świadków. Na Makarisze i teraz mieszkają ludzie, którzy pamiętają Polaków deportowanych w 1940 roku (...).

Najciekawsze było dla nas – piszą Anna i Aleksander – gromadzenie relacji, kontakty z ludźmi, uczestnikami opisywanych wydarzeń (...). Nasi rozmówcy dzielili się nie tylko faktami, mówili o swoich przemyśleniach, uczuciach swoich i swoich bliskich.

Makaricha jest znana jako straszny łagier przesyłowy dla rozkułaczonych chłopów. Fala przesiedleńców specjalnych na początku lat 30. XX wieku była potężna, wzięto ludzi różnych narodowości. Polacy nie zapisali się w jakiś szczególny sposób w pamięci miejscowych. (...) Anna i Aleksander odwołują się do relacji deportowanych. Piotr Iwanowicz Eltjer wspomina, że ich rodzina przybyła na Makarichę wiosną 1930 roku z Białorusi. Zachowała się opowieść Fieliny Ignatjewny Niteckiej (Czerwińskiej). Czerwińscy mieszkali na Białorusi, w obwodzie połockim, we wsi Sokołowo, pięć kilometrów od granicy z Polską. We wsi były załedwie cztery zagrody. Ziemi było dużo. (...) Pod

koniec lat 20. mądry i przedsiębiorczy Ignatij Iosipowicz Czerwiński zajął się też wypalaniem i sprzedażą wapna. Nie tylko sprawnie płacił podatki państwu, ale też z powodzeniem rozwijał gospodarstwo, kupił maszyny: kosiarkę, młockarnię, wialnię, miedlicę do lnu. To był czas wyętej pracy.

Takie ustabilizowane życie toczyło się do 1929 roku, roku wielkiego przełomu na wsi. Tak to był przełom. (...) Złamano życie milionom ludzi – komentują autorzy. Zaczyna się tragiczna karta w historii chłopów całego Związku Radzieckiego. Fielina Ignatjewna wspomina: „W marcu 1929 nadeszły dokumenty, abyśmy (...) byli gotowi do drogi. Można było zabrać 50 pudów na całą rodzinę. W tym ubranie, żywność. Przydzielono ludzi z kołchozu, którzy przez dwa tygodnie wywozili wszystko z obejścia: ziarno, narzędzia. Wyprowadzili też bydło”. Kołchoźnicy nie szanowali zagrabionego majątku. Komsomolcy po dziesięciu wsiadali do furmanek. Zaganiali konie. Czerwińskich powieźli do rejonu. Ze wspomnień Fieliny Ignatjewny wynika, że ludzie sprzeciwiali się niesprawiedliwości. Byli tacy, którzy nie podporządkowali się władzy. (...) Kto z mężczyzn nie zgodził się jechać, tych zabrali (...). Rozstrzelali ich. A żony i dzieci i tak wywieźli.

(...) Ludzie nie czuli się winni, nie rozumieli, dlaczego tak ich traktują. Z listów, jakie przesiedleńcy pisali z Makarichy do Moskwy, wynika, że sądzili, iż zaszła jakaś pomyłka. W podaniu (...) przesiedleńców z baraku 45 czytamy: „Za co nas tutaj dręczą, za co się znęcają. Za co? Za to, że pola obsiewaliśmy i zyski państwu przynosiliśmy... za co? Wszystko nam zabrali, wywieźli nas”. (...) Przesiedleńcy proszą, aby rozpatrzono ich sprawy, a ich odesłano na miejsce. O to samo proszą mieszkańcy baraku 62: „Jesteśmy niewinni, czekamy na rozpatrzenie naszych próśb (...)”.

Czerwińskich załadowali do bydłowych wagonów i wystali na północ. Fielina Czerwińska miała 20 lat, matka Jefrosinja Pawłowna urodziła się w 1887 roku, ojciec Ignatij Iosipowicz w 1882 roku, dziadek ze strony matki, Pawieł Borisewic, miał około siedemdziesięciu lat. W jednym wagonie z Czerwińskimi znaleźli się sąsiedzi z chutoru, młodzi bracia Anton i Iwan Niteccy. Starszy, Anton, od przeżytych wstrząsów zachorował, stracił władzę w nogach. Czerwińscy opiekowali się nim w drodze. Pociąg dotarł do Kottasu. Na Makarisze nie było wtedy jeszcze szałasów. Ludzi umieścili w stajniach, gdzie wcześniej były konie chore na nosaciznę. Fielina Ignatjewna wspomina: „Nawóz w nocy odmarzał. Dzieci staraliśmy się umieścić wyżej, gdzie było cieplej. Od trujących oparów umierali i starcy, i dzieci. Jednej kobiecie przez tydzień umarło siedmioro dzieci w wieku od trzech do piętnastu lat (...)”.

Iwan Nitecki nie pogodził się z losem. Uciekł z grupą młodych ludzi z obozu na Makarisze. Ślad po nim zaginął. (...)

Uciec z Makarichy było trudno, chociaż obóz nie był szczególnie chroniony. Potwierdzają to wspomnienia innych przesiedleńców (...). Agafja Pawłowna Mastowa z obwodu homelskiego na Białorusi mówi: „Straży obozowej nie było. Wszystkim kierował komendant NKWD. Pomagał mu oddział „pałkarzy”, który ścigał uciekinierów, „pałkarze” donosili na wszystkich i o wszystkim. Przy

wyjściu do miasta był ich posterunek. Na drodze były ukryte stanowiska. Ucieczka była praktycznie niemożliwa: lasem – zginięsz, na drogach – posterunki, kolejną – dokładne kontrole dokumentów”.

Czerwińskich i Antona Niteckiego, kiedy puścili lody, na barce wyprawiono w górę Wyczegdy. Na początku lat 30. na Makarichę przychodzi jeden pociąg za drugim z chłopami z różnych zakątków (...) Związku Radzieckiego. Brakuje miejsca. Przesiedleńcy zaczynają budowę baraków. Przewiną się przez nie ludzie różnych narodowości, wśród nich również Polacy.

Udało się nam spotkać z Iwanem Andriejewiczem Baranowskim – relacjonują Anna i Aleksander. Iwan Andriejewicz urodził się w 1927 roku w obwodzie homelskim na Białorusi. Opowiadał nam o swojej rodzinie: „Dziadek, Anton Baranowski, mieszkał z rodziną w ziemiance. Dobrze grał na skrzypcach i dlatego ciągle zapraszano go na różne uroczystości, na wesela, stracił cały majątek. Dzieci Antona, mój ojciec Andriej i jego brat Mitrofan, budowali domy. (...) To były lata 1926–28. Na sen, na odpoczynek nie było czasu. Trzeba było doglądać trzody, pracować w polu. Za pieniądze ze sprzedaży produktów z gospodarstwa budowali dom”. To były ostatnie lata NEP-u. Synowie Antona wytrwalią pracą wyrrywają się z biedy. Gospodarstwa obaj bracia mieli zamożne. Iwan Andriejewicz opowiada: „Było kilka koni, owiec, krów (...). My, dzieci, byliśmy jeszcze mali. Byłem najmłodszy, siostra urodziła się w 1925 roku, brat w 1923. Nie pomagaliśmy wiele, cały ciężar spoczywał na rodzicach”. To były ciężkie, trudne lata, ale radosne. (...)

Rok 1930. O tym czasie Iwan Andriejewicz opowiada: „W naszej osadzie powstał kołchoz, do którego przyjęli tylko biednych. Kołchozowi potrzebne było bydło, obory, pomieszczenia. Przydały się zabudowania i bydło naszej rodziny i rodziny stryja, który też ciężko na wszystko pracował. Na zebraniu kierownicy, którzy przyjechali z miasta, zaproponowali, aby bogatych wysiedlić na północ. Zamożni to kułacy i nie ma dla nich miejsca we wsi”.

Zabrali im wszystko, czego dorobili się ciężką pracą (...).

Na stacji kolejowej Czerwińskich siłą wepchnęli do wagonów towarowych, drzwi zamknęli. Ubikacji nie było, zamiast niej postawiono wiadro. Jeden piecyk na cały wagon. Dokąd jadą – nikt nie wie. W końcu dotarli do Kotłasu, na Makarichę. Mrozy były po 40 stopni (...). To były pierwsze dni marca. Rodzice mieli nadzieję – Anna i Aleksander relacjonują wspomnienia deportowanych – że dostaną ciepłe miejsce do zamieszkania, tak jak im obiecano na Białorusi. Mieszkaniami okazały się baraki z desek, przykryte sosnowymi i świerkowymi gałęziami. Z dwóch stron baraku były metalowe piecyki, nie po to, aby ogrzać pomieszczenia, a po to, by gotować. Stale ktoś na nich coś przygotowywał, trudno było nawet zagotować wodę. Nie było możliwości, aby ogrzać barak, ludzie spali przytuleni do siebie, w ubraniach, zdrowi i chorzy razem. Chorowali, umierali. Szczególnie ciężko było matkom, pieluszki suszyły na własnym ciele. Iwan Andriejewicz wspomina: „Z głodu i zimna chorowały wszystkie dzieci w naszej rodzinie. Przechorowałem wszystkie dziecięce choroby, trzy razy miałem zapalenie płuc, jakoś przeżyłem. Siostra umarła przy pierwszej chorobie. Nie było

żadnej opieki medycznej. Kiedy śmiertelność wzrastała, chowali bez trumien, (...) kopali olbrzymie doły i w nich układali trupy”.

Zapytaliśmy Iwana Andriejewicza – piszą Anna i Aleksander – jak miejscowi odnosili się do przesiedleńców? Przecież władza próbowała im wmówić, że na Makarichę przywieźli wrogów”. Iwan Andriejewicz powiedział, że ludzie współczuli przesiedleńcom, „pomagali im czym mogli (...), dawali mleko dla dzieci”.

Nastąpiła wiosna. Ruszyły rzeki. Ludzi ładowali na barki i wysyłali w dół Dwiny i w górę Wyczegdy. Baranowskich odprawili w górę Wyczegdy. Na barce śmierć też dziesiątkowała przesiedleńców. Baranowski opowiada: „było bardzo ciasno, duszno, ludzie umierali z głodu i z powodu złych warunków”.

Na Makarichę trafiali przede wszystkim rozkułaczeni polscy chłopcy z Białorusi. Z Makarichy rzekami wysyłano ich w leśną głąszkę na wyręb „zielonego złota” (...). Wszystkie rodziny, o których udało nam się zebrać informacje trafiły do rejonu leńskiego w obwodzie archangielskim – piszą Anna i Aleksander.

Czerwińskich i Antona Niteckiego barką przetransportowano do Jareńska. Znowu umieszczono ich w barakach. Zmarli tam ojciec i dziadek. Szalała epidemia, dziadek, który miał siedemdziesiąt lat, (...) zaraził się tyfusem. Jeszcze żywego wynieśli go do kostnicy, gdzie zmarł. W Jareńsku nie było żadnej pomocy medycznej. Młodych ludzi, którzy przeżyli epidemię, gnano do pracy w lesie dwadzieścia kilometrów od osiedla. Wycieńczeni czasem umierali nie doszedłszy na miejsce. Kiedy przesiedleńcy starali się uchylać od pracy, formowanie oddziałów powierzano pałkarzom. Pałkarze to byli przesiedleńcy, którzy za dodatkową porcję jedzenia i za zwolnienie od pracy przy wyrębie, kontrolowali innych. (...)

Fielina nocą w bieliźnie, w chuście na koszuli, wychodziła z baraku. W ubraniu nie puściliby jej pałkarze. Niedaleko, ukryty w krzakach, czekał na nią Anton. Uciekali do tajgi, trzy–cztery kilometry, ukrywali się tam do rana. Wiedzieli, że rankiem, kiedy młodzi śpią najmocniej, do baraku wdrą się pałkarze. Zakatują tych, którzy stawią opór, z pozostałych sformują kolumnę i pogonią do lasu. A tam śmierć jest nieunikniona. W Jareńsku Anton i Fielina pobrali się. Anton Nitecki wspomina: „tajga nas wyswatała”.

W 1936 roku rodzina Niteckich trafiła do przedsiębiorstwa wyrębu lasu Litwino w rejonie leńskim. Mieszkali tam przesiedleńcy specjaliści z Białorusi i Ukrainy.

Na początku Niteckich umieszczono w braku. Później pozwolono im zbudować dom. Powoli zagospodarowali się na nowym miejscu. Urodziły się dzieci. Było ich siedmioro: dwaj synowie i pięć córek.

Niekiedy matka z żalem mówiła: „Oj dzieci, rośniecie i nawet jabłek nie widzicie. A u nas w domu spadłych owoców nawet świnie nie jadły”. Ale dla dzieci, które urodziły się i wychowały na

północy Litwino było ukochanym, ciepłym domem. Wspominają dzieciństwo i młodość jako trudny, ale wesoły i szczęśliwy okres.

Nigdy nie przestaniemy mówić o okrucieństwie faszystów – piszą młodzi autorzy. Nakręcono na ten temat wiele filmów, napisano wiele książek. Ale dramaty, które rozgrywały się w kształtującym się społeczeństwie socjalistycznym są nie mniej potworne. (...) Ofiar nikt nie liczył, nie sposób ich policzyć.

Druga fala Polaków napłynęła w latach 40. Na północ trafili deportowani w lutym i czerwcu. Wspomina ich m.in. Marija Prokopjewna Jelsakowa, która dzieciństwo spędziła w Priwodinie. Pamięta, że niedaleko od osiedla stały baraki, w których mieszkali Polacy. Widziała jak grupki dzieci i starszerek, po 10–15 osób, chodziły do lasu. *Ale jagody i grzyby nie mogły uratować umierających z głodu. „Chodzą, chodzą, przewrócą się. W lesie ich i zakopią. Na miejscu pochowku stawiają brzożowy kołek. Patrzymy, stoi brzożowy kołek, znaczy Polak pochowany. Dużo było takich kołków w lesie”.*

W archiwum kotłaskiego stowarzyszenia „Sowiest” przechowywane są wspomnienia Marii Bubnowej. Jej ojciec pracował jako majster (...) w przedsiębiorstwie przemysłu leśnego, mieszkali we wsi Jagodnoje. Anna i Aleksander przytaczają jej wspomnienia: „W lipcu 1940 roku do Jagodnego przywieźli Polaków, w większości rodziny. Ulokowali ich w dwóch wsiach Siewiernyj Katczug i Jagodnoje. To byli wykształceni ludzie, wielu skończyło studia, niektórzy mieli nawet tytuły naukowe. Od pracy ponad siły, od złego jedzenia, z ciasnoty zeszła często chorowali i umierali... Dobrze pamiętam inżyniera Fride (...). Mądry człowiek. Z głodu i wycieńczenia umarł na początku 1942 roku. Pamiętam rodzinę Krzywańskich, gdzie było pięcioro dzieci. Krzywański pracował jako felczer, naprawdę był wybitnym uczonym, profesorem medycyny. Ciągnęli do niego ludzie z daleka, nikomu nie odmówił, nawet operacje robił”.

Żyło się deportowanym Polakom (...) bardzo ciężko. Wielu na północy znalazło śmierć. To jedna z tragicznych kart w historii (...). (...) dla tych, co pozostali północ stała się domem. Mieszkają wśród nas ich dzieci i wnuki (...).

31 stycznia 2011 roku do administracji Kotłasu nadszedł list z polskiego konsulatu w Sankt Petersburgu z pytaniem o możliwość postawienia pomnika Eugeniuszowi Bodo.

Na początku wojny Bodo przedostał się na wschód, do Lwowa. Dobrze znał rosyjski, występował jako konferansjer, jeździł z występami po Związku Radzieckim. Postanowił emigrować do USA, w 1941 roku złożył wymagane dokumenty, liczył na to, że szwajcarski paszport ułatwi mu wyjazd. 26 czerwca został aresztowany przez NKWD.

Polska ambasada w Moskwie zabiegała o jego uwolnienie. Dyplomatom wyjaśniono, że nie mogą wstawiać się za obywatelem Szwajcarii. (...) Dwa lata Bodo był więziony w Butyrkach bez przedstawienia aktu oskarżenia. (...) słabł z każdym dniem. Żeby oszukać głód zaczął pić dużo gorącej

osolonej wody. Nerki nie wytrzymały. To przyspieszyło tragiczny koniec. W 1943 roku Bodo został wysłany etapem do Kołtasu. 7 października zmarł z wycieńczenia w kołtaskim łagrze.

Teraz na cmentarzu w Makarisze szumi gęsty las. Pod każdą sosną mogiła, w każdej mogile zagubiona dusza. W Kołtasie są ich tysiące, w Rosji miliony – piszą w podsumowaniu pracy Anna i Aleksander. Wzywają nie do zemsty, nawołują, aby o nich pamiętać. (...) Każdego roku 30 października, w dzień pamięci o ofiarach represji politycznych, na Makarisze odbywają się uroczystości (...).

Opracowała i tłumaczyła: Dorota Pazio-Włazłowska